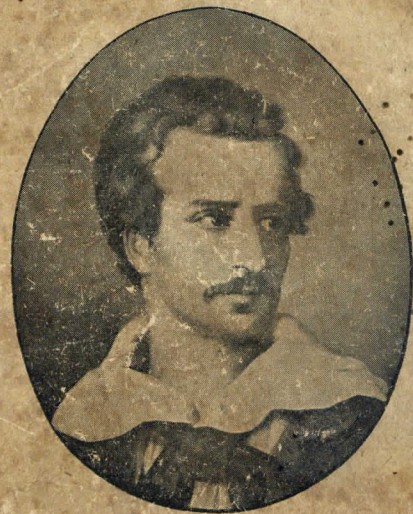


PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA W BIAŁYMSTOKU



93068

Juljusz Słowacki



WARSZAWA.

Skład główny w „Księgarni Polskiej” J. Sikorskiej, Warecka 14.

Biblioteka Pedagogiczna CEN w Białymst
nr inw.: KG - 93068



BC KSK / 93068

JULJUSZ SŁOWACKI.

SM,

Juljusz Słowacki.

Przez

F. Morzycką.



WARSZAWA

Skład główny w „Księgarni Polskiej” J. Sikorskiej—Warecka 14.

1901.

Druk. M. Lewiński i Syn, Jasna № 2 róg Świętokrzyskiej.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Юля 1901 года.

884 (097) AP: 929
(438) AP

Kto to był Słowacki?

Dnia 3 Kwietnia 1899 r. upłynęło 50 lat od śmierci Juljusza Słowackiego, jednego z największych naszych pieśniarzy. Na uczczenie tej rocznicy w Księstwie Poznańskim, w miasteczku Miłosławiu, wśród wspaniałego parku wzniesiono piękny pomnik, na odsłonięcie którego zjechało się do Miłosławia wielu naszych uczonych, poetów i pisarzy.

Liczni mówcy w gorących słowach podnosili zasługi Słowackiego, sławiąc jego piękne utwory, wzniosłe myśli i gorącą miłość do swego społeczeństwa.

Ze wszystkich jednak przemówień najpiękniejszą była mowa Henryka Sienkiewicza.

Oto wyjątek z tej mowy:

— „Opatrzność, tworząc narody, hojnie obsypała naszych praocjów rozlicznymi darami. Dała im obszerne i żyzne ziemie; dała im zarazem lwie i gołębie serca, szlachetne dusze i bystre umysły, zdolne do najgórnějších lotów.

Ale nie był to jeszcze kres darów.

Możnaby mniemać, że Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: oto nadomiar wszystkiego daję wam spiż i złoto — a wy z tego uczynicie mowę waszą.

I została ta mowa, niespożyta jak spiż, świetna i droga jak złoto, jedna z najwspanialszych w świecie; tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Helenów ¹⁾ może się z nią porównać.

Powstali też z biegiem wieków liczni mistrze słowa, którzy ze spiżu uczynili ramę harfy, a ze złota nawiązali na nią struny. A wówczas poczęła śpiewać ta polska harfa i wyśpiewywać dawną wiarę, dawne życie. Czasem huczała jak grzmot w górach; czasem z jeremjaszowym jękiem unosiła się nad równinami; czasem w skowronkowych tonach dźwięczała nad polami — błogosławiąca i błogosławiona, czysta jak łza, boża jak modlitwa, słodka jak miłość.

Aż przyszedł wreszcie do tej naszej harfy największy z mistrzów — Mickiewicz i — położywszy na niej natechnione dłonie, wy dostał z jej strun takie jeszcze dźwięki, których nie domyślano się przed nim. Pieśń jego kończyła się aż gdzieś na niebios progu, tak doskonała, tak prawie niezemska, że wówczas nawet, gdy przestawał grać:

„wszystkim się zdawało,
że wielki mistrz gra jeszcze, a to echo grało...“

Echo serc polskich...

I wygrał szum naszych lasów, plusk naszych rzek i dżdżów, gromy naszych burz, pieśni naszego ludu...—
Wszystko co nasza myśl może objąć, serce odczuć, a dusza wyobrazić, jako wzniosłe i jako najpiękniejsze w świecie.

¹⁾ Heleni — Grecy.

Więc zdawać się mogło, że po nim i obok niego nikt nie zdoła już nic dodać tej mowie, że dosięgła już szczytu i że ozdoby a doskonałości nikt już nie potrafi jej przysporzyć.

Jednak znalazł się poeta, który to uczynił, a był nim Juljusz Słowacki.

.....
Lećcie u zorzy prosić purpury,
Perłę u rosy, szafiru u chmury,
A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nie —
To tęczę wziąć na wrzeczona
I wić, i wić, i wić...

Tak jest! On to uczynił. On nabrał pełnemi garściami perłę, szafirów, purpury, tęczowych blasków, olśniewających djamentów i obsypał nimi tę naszą harfę tak hojnie, tak bez miary, że stanęła przed nim i przed nami w niebywałym blasku, przepychu i majestacie — niby Harfa - Królowa, przed którą gną się kolana ludu i schylają się czoła.

I oto jego zastuga, jego chwała, jego wielkość.

Pokolenia będą czerpały z tych skarbów, pokolenia będą z podziwem i zdumieniem się pytały, jak zdołał i mógł to uczynić?

A jednak — uczynił.

Zdołał — bo poezja w jego duszy była jak nieprzebrane wody mórz, a mógł — bo tylko zmarłym nie można nic dodać. Przed żywą królową zawsze można uderzyć czołem i przynieść jej skarby w ofierze; ta zaś nasza królowa, którą on obdarzył, była i będzie nie tylko żywa, ale i nieśmiertelna.”

W Krzemieńcu i w Wilnie.

Jednym z najpiękniejszych miast jest Krzemieniec: przerznięty niewielką, lecz bystrą rzeką Ikwą, otoczony górami i lasami, tonie on w zieloności sadów i ogrodów.

Dziś miescina ta, zaledwo 10 tysięcy mieszkańców licząca, znacznie podupadła, tak że trudno nawet przypuścić z obecnego jej stanu, że na początku ubiegłego stulecia była pięknem, ruchliwym miastem, w którym kwitnęły nauki i dobrobyt. Dobroczyńcą Krzemieńca był szlachetny obywatel Tadeusz Czacki, który w r. 1803 założył w tem mieście własnym kosztem szkołę wyższą, zwaną liceum.

Niedługo istniało liceum Krzemienieckie, jednak lata te zapisały się chlubnie w dziejach oświaty. Profesorem języka polskiego w liceum Krzemienieckim był Euzebjusz Słowacki — ojciec Juljusza. Był to człowiek zacny, wykształcony i nadewszystko rozmiłowany w wykładanym przedmiocie. Poza godzinami lekcji pracował z zapalem, pisząc rozprawy naukowe, tłumacząc obcych poetów i tworząc wiersze. Zebrane po śmierci jego prace wydane zostały w czterech książkach.

Euzebjusz Słowacki ożeniony był z Salomeą Januszewską, która pochodziła z zamożnej rodziny szlacheckiej. Rodzice jej mieszkali w Krzemieńcu w ładnym dworku, z dużym ogrodem i dwiema topolami przed gankiem. Dziadkowie Juljusza byli to poczciwi ludzie starej daty. W święta i niedziele dziadek ubierał się w barwny strój polski, a wówczas córka

„Ojcu jasny trzyma pas,
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło:
Potem ją całuje w czoło
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy....“

Zdaje się, że dziadkowie woleli, żeby córka ich wyszła za zamożnego obywatela, niż za biednego profesora. Bardzo też być może, że Euzebjusz Słowacki, starając się o pannę Salomeę, tak myślał, jak jeden z późniejszych bohaterów jego syna:

„Cóż ja jej powiem? — ja jestem ubogi...
Pan regent jasnych atlasów naniesie,
Przyjedzie końmi karymi w kolesie —
Opowie, jakie ma przed domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie ¹⁾
Przemieni w perłę kałakuckich sznury
I ją ubierze, — że jak aniołowie
Będzie świeciła między siostry swemi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotemi!
A ja — co powiem? ja — student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... czy bławatek polny?...“

Panna Salomea nie była z tych, które przekładają perły i bogactwa nad poczciwe serce: nad innych bogatych starających się o jej rękę przelożyła uboższego profesora i zamieszkała z nim w Krzemieńcu. Tu też, w tej ukochanej krainie, o której potem pieśniarz nasz pisał:

¹⁾ Berdyczów miasto w gub. Wołyńskiej, zamieszkane przeważnie przez żydów.

„Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem...”

urodził się d. 23 Sierpnia r. 1809 Juljusz Słowacki.

Dzieciatko słabiutkie było i wątłe, od najpierwszej więc chwili życia otoczono je wielką troskliwością. Babka słuchała mszy św. na jego intencję, a wracając do dworku najpierw pytała o wnuka.

„Ludzie nieraz „on umrze“ mówili przed matką!
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem. Lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...”

Pomimo tych złych przeczuć, rosło i rozwijało się dziecko, o którym słowami Pisma Świętego można było powiedzieć, że duch miało mocny, ale ciało mdłe.

Tymczasem Euzebjusz Słowacki został powołany na korzystniejszą i zaszczytniejszą posadę przy uniwersytecie wileńskim.—Z żalem pożegnał Czacki cennionego nauczyciela swej szkoły. Słowaccy przenieśli się do Wilna, lecz niedługo tam przebywali. Śmiertelna choroba piersiowa, do której skłonność Juljusz odziedziczył po ojcu, odebrała im głowę rodziny.

Pochowawszy męża na Rossie, pięknym cmentarzu wileńskim, pani Słowacka wróciła z 5-cio letnim synkiem znowu do Krzemieńca, do rodziców i owego pamiętnego dworku dziadków.

Tu mały Juljusz bujał po obszernym dziedzińcu, cienistym ogrodzie i wielkiej piekarni, przypatrywał

się, jak się tam czeladź krzątała, uwijały dziewczęta we wzorzystych koszulach, jak doily krowy, karmiły kury, a matka, nie wstydząc się najcięższej pracy, miesiła ciasto, pracowała w ogrodzie, żeby nie być ciężarem rodzicom. Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, państwo wraz z czeladzią zbierali się śpiewać kolędy pod przewodnictwem szanownego dziadka. Wspominając te dziecinne lata i rzewne, a proste śpiewy, Słowacki ułożył potem taką kolędę:

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes ¹⁾.
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes ²⁾.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes ³⁾.
Przeleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes ⁴⁾.
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciatku.
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiatku.

Jeszcze za życia ojca Juljusz Słowacki rozpoczął naukę czytania: na bajkach Krasickiego pokazywano

1) Et mentes — i dusze.
2) Ridentes — śmiejąc się.
3) Cantantes — śpiewając.
4) Mutantes — zmieniających.

mu litery. Gdy zaczął je już składać i rozumieć, co czyta, ze wszystkich książek najbardziej ukochał wiersze sławnego greckiego poety Homera, które, w tłumaczeniu odczytywał z największym upodobaniem. Dziwili się wszyscy, że książkę pisaną dla dorosłych to małe dziecko nietylko pojmuje, ale ocenia jej wysoką wartość. Nie w tem jednak tylko okazywało się przedwczesne rozwinięcie dziecka: od najmłodszych lat poczęło ono marzyć o sławie i pragnąć wyniesienia się nad innych ludzi. — Przyczyniło się do tego otoczenie młodego poety. Życie jego złożyło się tak, że od najwcześniejszego dzieciństwa otoczony był ludźmi wysoko wykształconymi. Matka jego wyszła drugi raz za mąż za pana Bekiu, też profesora uniwersytetu wileńskiego, znowu więc w Wilnie, w domu ojczyma, tak samo jak niegdyś w ojcowskim, zbierali się ludzie oświeceni, najrozumniejsi w całym kraju. Rozmowy toczyły się wciąż o książkach, wierszach, o ważnych wypadkach w kraju i zagranicą, lub też o ludziach znakomitych, których wystawiano i wielbiono z uniesieniem. Dziecko, nie mając rodzeństwa, przysłuchiwało się tym rozmówom, a wrażliwy umysł jego przyjmował mnóstwo przedwczesnych wiadomości i wrażeń. Przejście wojsk francuskich pod wodzą sławnego Napoleona r. 1812 i jego ucieczka, chociaż znane mu tylko z opowiadań, wraziły mu się tak w pamięć, że potem opisał je, jak gdyby patrzył na wszystko własnymi oczyma.

Oto jak Słowacki przedstawia niespodziewany przyjazd uciekającego wśród srogiej zimy cesarza do cichego szlacheckiego dworu:

„Noc była wietrzna, śnieżna, a wichry śpiewały
W kominach swoje zwykłe, płaczące hejnały.¹⁾
Siedziały przy robótce, w zaniedbanym stroju,
Same jedne, wizyt się w domu swoim żadnych
Nie spodziewając dla mgieł i czasów szkaradnych,—
Gdy nagle przed oknami, jak świst, grzechot węzy,
Zaszumiał przeraźliwie straszny brzęk uprząży...“

Gdy kobiety zadziwione, poprawiają stroje i zagląдают „przez okiennic szpary“

„ Tymczasem wchodzi do pokoju
Człowiek niewielki wzrostem, w podróżnego stroju:
Sądziłbyś, że cywilny, gdyby nie miał szpady
Pod pachą; dosyć piękny na twarzy i bład
Mimo zimna. Twarz była jak marmur niezmienna,
Owszem, rzekłbyś, że bielsza od mrozu, promienna,
Jak miesiąc złota. Oddał lekki ukłon Zosi,
Ona się zlekła, oczy spuszcza, nie podnosi,
Nie śmie, stoi jak posąg, a w sobie rozważa,
Czy ma uciec, czy zostać? Poznała cesarza,
Napoleona”

Z wielu znakomitych ludzi, którzy bywali w domu matki Słowackiego, dwaj poważni bracia Śniadeccy, blizcy znajomi państwa Bekiu, dawali przykład, jak należy służyć społeczeństwu gruntowną nauką i nieposzlakowaną cnotą. Nadewszystko jednak duch poetycki, który geniusz Mickiewicza rozniecił w kraju i w duszach młodzieży rozpałił, przyświecał najmłodszym latom Juljusza Słowackiego.

W ósmym już roku życia, gdy inne dzieci zabawkami i fraszkami zaprzątnięte mają głowy, Słowacki modlił się gorąco do Boga o sławę, o życie

1) Hejnały — pieśni pobudkowe.

nędzne, pogardzone, ale niezwykle, pełne nadzwyczajnych przygód; mówił, że od życia niczego nie żąda, a za to po śmierci upomni się o wszystko...

Nie taki jak inne dzieci, a rozpieszczony jednak nie łatwym był do prowadzenia. W szkole już na kolegów patrzył z góry, wybrawszy sobie z pomiędzy wszystkich jednego tylko przyjaciela, ale znacznie starszego od siebie i najrozumniejszego z całej szkoły: świadczy to, że był nad wiek rozwinięty i że towarzystwo młodszych kolegów nie mogło mu wystarczyć. Matka z nieopisaną miłością i dumą patrzyła na wyróżniającego się jedynaka, a gdy jakaś pani w sposób niewłaściwy przechwalała się swem licznym potomstwem, matka Słowackiego odpowiedziała jej dowcipnie słowami bajki Krasickiego:

Miej ty cztery... dziesięć... dwa...
Ja jednego, ale lwa.

Szczyciła się swym synem, jednak serce jej czuło, że trudno mu będzie żyć na świecie z wielką dumą i wygórowanymi pragnieniami. Nie wróżąc mu szczęścia w przyszłości, tem tkliwszą otaczała go miłością i starała się zrozumieć niespokojną duszę syna, który odpłacał jej też głębokiem, a tkliwem uczuciem. Była mu ona do końca życia nietylko najlepszą matką, najukochańszą na świecie istotą, ale i najrozumniejszym przyjacielem.

Nie mogąc zapewnić majątku swemu najukochańszemu jedynakowi, starała się przynajmniej dać mu o ile można najstaranniejsze wychowanie i jak najwyższą naukę. Słowacki uczył się z wielką łatwością, a ukoń-

czywszy chlubnie szkoły, wstąpił do uniwersytetu wileńskiego, na którego ławach niedawno przedtem zasiadał Mickiewicz.

Podczas świąt i wakacji wyjeżdżał do krewnych i znajomych, poznając Litwę, Podole i Ukrainę. Szczególniej ostatnia kraina, pokryta równą płaszczyną, zarosła dziką trawą i ogromnymi chwastami, przemówiła najsilniej do jego duszy. Znacznie też później, przebywając za granicą, opisywał wielokrotnie urok jej smutnych, jednostajnych, ale pięknych stepów.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy.

.....
Tam na kurhanach ¹⁾ posepne lirniki
Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów.

.....
Wychodzę na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącemi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.“

W 19-tym roku życia Juliusz Słowacki ukończył uniwersytet i zamieszkał przy matce, która od kilku lat, zostawszy powtórnie wdową, powróciła do swych rodziców. Znowu więc u dziadków w Krzemieńcu odpoczywał po pracach uniwersyteckich. Można jednak powiedzieć, że dopiero po wyjściu ze szkół zaczął pracować i nabywać wiadomości koniecznych, żeby stać się znakomitym pieśniarzem. Wówczas miał już napisanych wiele wierszy i parę większych

1) Kurhany — dawne mogiły na stepach.

powieści wierszowanych, a jeszcze więcej pomysłów roilo mu się po głowie. Nie wątpił ani na chwilę, że z czasem zajdzie wysoko i pieśnią ludzi zadziwi.

Trzeba jednak było pomyśleć i o pracy na chleb powszedni. Inni, pospolici ludzie, najwięcej właśnie o ten chleb codzienny się troskają—i dla takich wznie-sienie się w krainę myśli i ducha stanowi nadzwyczajną trudność. Inaczej rzecz miała się ze Słowackim. Z niechęcią myślał o zajęciu, z którego dla ducha i myśli nie mógł spodziewać się żadnej pociechy, a które miało być prostą pracą dla zarobku. Rozum jednak,—pomimo serdecznego żalu,—kazał jechać na urzędowanie do Warszawy. Musiał porzucić ukochany Krzemieniec, matkę, rodzinę. Jednak szeroki świat i nowe życie nęciło go radośnie; matka za to pozostała niepokieszoną.

Rozrzewniającem było rozstanie się Juljusza Słowackiego z matką; żegnała go ona przestrogiami i błogosławieństwami, które później tak wierszem wyraził:

„Synu, wstępujesz teraz w trudną życia drogę,
Gdzie już nad tobą czuwać i strzedz cię nie mogę.
Rzuciwszy dom, rodzinę, w obce idziesz kraje,
Gdzie ci nieznane serca, nieznane zwyczaje.
Teraz ci zorzy szczęścia jaśnieją szkarłaty,
I nadzieja po drodze bujne sieje kwiaty.
Ale gdy wiek dojrzałszy uczucia przemieni,
Gdy ujrzysz się sam jeden w tym obcym ci tłumie,
W którym nikt twoich myśli, serca nie zrozumie:
Wtenczas choć myślą wracaj w ojczyste krainy
I przenies się na łono kochanej rodziny.
Przypomnij dom, gdzie lata spędziłeś dziecinne,
Przypomnij siostry, braci, zabawy niewinne;
Wspomnij na twego ojca, co się cieszy w niebie
I co z górnych przybytków spogląda na ciebie.“

.....

Bądź zdrów synu! Ach trudna, trudna życia droga,
Błogosławię cię jeszcze, wezwij w pomoc Boga,
Idź, żegnam cię....“

Warszawa i pierwsze utwory Słowackiego.

Po szczęśliwych chwilach spędzonych w Krzemieńcu, prześlizgnem Wilnie, u boku matki i blizkich, ogromna, ludna Warszawa, otoczenie osób nieznanach, a szczególnie praca w biurze jednostajna i bezmyślna—przygnębiające uczyniły wrażenie na młodym poecie.

Jednak i Warszawę, choć nie tak malowniczo położoną i nie tak pięknymi otoczoną okolicami, Słowacki ukochał serdecznie. Drogą stała się jego pamięci, gdy w kilka lat potem ofiarował Warszawie cały poemat.

Główną też część Warszawy koło Zamku, kolumnę króla Zygmunta III, katedrę i Stare Miasto tak opisuje:

„.... Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żorawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka:
Taka, zda się odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świecących wież Świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie ¹⁾ siwej Miasto Stare;
A dalej jeszcze, we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien...“

¹⁾ W oddaleniu
Juljusz Słowacki.



W Warszawie, czując się osamotnionym, Słowacki pisał dużo i tu talent jego rozwinął się i dojrzał. Najpierw dał go poznać i wstawił w kraju niewielki wierszyk, p. t. „Kulig polski“.

Kuligiem nazywają w niektórych okolicach kraju zabawę, w której podczas zapust ludzie jeżdżą od domu do domu, zabierają sąsiadów po drodze, aż upatrzwszy najobszerniejszy dwór, gromadzą się dla wspólnej zabawy:

„Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z bicia, niechaj śpi lichy.
Szybko po drodze, tak jak upiory,
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
 Niech sanki świszczą
 Jak błyskawica,
 W okrąg księżycy
 Złote mgły koło,
 Kagańce błyszcżą.
Cha! cha! cha! jak nam wesoło.“

W Warszawie Słowacki obracał się w kółku ludzi wykształconych; poznał też kilku uczonych i poetów. Największe na nim wrażenie sprawił Ursyn Niemcewicz, sędziwy historyk, poeta, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jeden z najbardziej szanowanych wówczas ludzi w całym kraju. Mieszkał on pod Warszawą, w małej wiosce, która od jego imienia nosiła nazwę Ursynowa.

Przytem młodzież, poznawszy bliżej Słowackiego, otoczyła go szacunkiem i życzliwością. Nieraz też radością wzbierało serce młodego pieśniarza, jak to widzimy z listu do matki, przed którą zwykł był zwiernić się ze wszystkich swych uczuć.

— „W tych dniach—pisał do niej—wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz kochana Mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin. Wymówiłem się z tem kiedyś dawniej przed jednym z moich znajomych i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach; przyjemnie więc mi było, gdy młodzież zebrana przypijała do mnie. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stoła; zdawało mi się, że kochany dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony i melony Wołyń mi przypominały. W kilka dni potem, jednego poranka przyjechał do mnie Potocki, prosząc, żebym z nim jechał do Ursynowa, małej wioski Niemcewicza.— Muszę więc Mamie obszernie opisać tę wizytę.—Ursynów leży o małą milę od Warszawy za Mokotowem. — Śliczny był ranek — trochę zimny — i mgła gęsta pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza. — Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo; nadto niepewny byłem, jakie mnie tam spotka przyjęcie, bo Niemcewicz przez kobiety popsuty, bardzo się zrobił kapryśny. Nareszcie stanęliśmy u celu podróży—pojazd nasz zatrzymał się w alei, w której zdaleka widać było już dom poety—nie kazaliśmy jechać dalej, bo Niemcewicz, stał przed gankiem — podobnie więc, jak ludzie do Częstochowy, zbliżaliśmy się pieszo z sercem skruszonym.—Przywitał nas dość obojętnie.—Zaczął rozmowę o Wilnie tonem rabiącym Jana Śniadeckiego.—O, źle!—pomyślałem sobie—na toż przyjechałem tutaj, żebym mu potakiwał? Szczęściem, że rozmowa ta prędko się skończyła.

— „Panie Potocki — rzekł do towarzysza — wszak znasz mój Ursynów, oprowadź pana Słowackiego po piękniejszych miejscach — ja się muszę tymczasem przebrać.“

To mówiąc, ukłonił się nam i wszedł do domu, a my poszliśmy chodzić po ogrodzie. — Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza. Z tej krowy, jak sam mówił, — ma dwa złote na tydzień przychodu. — Przeszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza; żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zacierać każe przez skromność.

Usiadłem w altanie — Potocki stał nademną, a widząc, że jestem nadzwyczaj smutny i blady, zapytał mnie o przyczynę. Odpowiedziałem mu, iż szczęśliwy, kto może tak pisać, jak Niemcewicz — słodko i przyjemnie, bez trawienia się własnym ogniem! Szczęśliwy... odpocznie na starość w tak cichym domku, wtenczas, gdy na grobach młodszych od niego ludzi trawa porastać będzie. — Wtem służący, przysłany od starego, zaprosił nas na śniadanie. Właśnie trzeba było śniadania, żeby przerwać bieg marzeń!...

Usiedliśmy po obu bokach Niemcewicza, a u nog jego siedziały dwie małe dziewczynki; są to córeczki jego służącego, którym często pozwala swawolić ze sobą.

Przy śniadaniu Potocki zaczął mnie prosić, żebym co przeczytał Niemcewiczowi. Staruszek oświadczył mi także chęć słyszenia moich robót, chociaż dosyć obojętnie. Opatrzyłem się na wypadek w moją

tragedję „Mindowe.“ — Na wezwanie powtórne staruszka czytać zacząłem. Niemcewicz słuchał z początku, siedząc bokiem odwrócony; gdy przyszło do miejsca, w którym Mindowe zrywa z Krzyżakami: obrócił się nagle — czoło jego pomarszczyło się — widać było znacznie nateżoną uwagę — patrzył mi w oczy, jakby chciał mnie całego przeniknąć, a oczy ma szare, przenikliwe i wielkimi najeżone brwiami, jak oczy Jana Śniadeckiego.

Czytałem dalej — słuchał cierpliwie; kiedy skończyłem, powiedział: „—Cieszę się, iż przed śmiercią widzę, że jeszcze zostanie w Polsce poeta, co ma tak wielki talent.“ — Odtąd stary przypatrywał mi się z uwagą, a przy pożegnaniu powiedział mi jeszcze: — „Cieszę się, iż poznałem tak zacnego młodzieńca.“ — Prawda, jak to po staropolsku?

Dostawszy pozwolenie od zwierzchników, Słowacki raz jeszcze odwiedził matkę w Krzemieńcu. I tym razem rozstanie było wzruszające, a tem pamiętniejszem i droższem stało się ono dla poety, że wówczas już po raz ostatni przestępował próg rodzinnego domu. — „Nie zapominam nigdy, — pisał po wielu latach do matki — że widziałem łzy w oczach dziadunia, kiedym raz ostatni żegnał się z wami. Jakie to było pożegnanie! —“

Na wiosnę r. 1831 Słowacki nagle i niespodzianie opuścił Warszawę.

Tym wyjazdem kończą się pomyślne lata spędzone wśród swoich, odtąd poczyna się dla poety smutna dola tułacza; nieustająca, dotkliwa tęsknota za krajem i rodziną nie opuszcza go aż do ostatniej godziny śmierci.

W późniejszych latach życia widzi on nawet
widmo swej tęsknoty za Krzemieńcem,

„Które tam stoi, jak Archanioł złoty,
A czasem miasto — jak orzeł — obleci
I znów na skałach spoczywa i świeci!..“

Początek wędrówki poza granicami kraju i pierwsze wydanie pism Słowackiego.

Po krótkim pobycie we Wrocławiu i Dreźnie, Słowacki był zmuszony odbyć niespodzianą i nadzwyczaj pilną podróż do Londynu.

Dnia 26 Lipca wyjechał z Drezna przez Paryż, 3 Sierpnia był już w Londynie. W owe czasy gdy całą tę drogę odbywało się końmi, a nie jak dziś — koleją, trzeba podziwiać szybkość, z jaką ją przebył Słowacki, — przypłacił też zdrowiem to wielkie utrudzenie. Opowiada, że w tej podróży wszystko mijało w jego oczach, jak obrazy latarni czarnoksiężskiej; podróżował dniem i nocą, widząc tyle tylko, ile mógł dostrzedz ze swego powozu.

Anglja — a szczególnie jej stolica Londyn — ogromne uczyniły wrażenie na młodym poecie.

— „Wiele tam miałem chwil zachwycających — zwierza się matce. — Przyjemne miasto! Wszedłszy na samą kulę wieży kościoła św. Pawła, rzuciłem okiem w około i pomimo niezmiernej wysokości wieży,

z żadnej strony miasta nie było widać. Domy aż za widnokrąg się rozciągały, i pyszna rzeka Tamiza z ogromnymi mostami, i za ostatnim mostem las ogromny masztów, i nad brzegami Tamizy kominy machin parowych, z których wylatują kłęby czarnego dymu — wszystko to tworzy widok zachwycający.“

Wkrótce jednak opuścił Londyn i udał się do innej stolicy — do Paryża. Francuzi i ich stołeczne miasto mniej podobało się poecie. Jednak bawił tu przez czas dłuższy, zajmując się wydaniem pierwszych swych utworów.

Poezje Słowackiego wyszły w r. 1832 w dwóch niewielkich tomikach — i nie zyskały sobie u narodu wielkiego uznania. Przyczyną na to złożyło się wiele.

Najważniejszą niezaprzeczeniem była ta, że Słowacki nie należał do łatwo zrozumiałych autorów, przytem ulegał on z początku wpływom obcych poetów, co nie podobało się wielu czytelnikom.

Słowacki, czując się człowiekiem wyższym, w młodych latach począł nadto lubować się w tej swojej wyższości. Chociaż serce jego tkliwe i czułe rzeczywiście kochało ludzi i potrzebowało ich miłości, jednak nie lubił się do tego przyznawać i często pysznił się swem osamotnieniem i odrębnością.

Miło być (mówił) dumnym i samotnym
I niedzielone mieć uczucie z nikim,
I, nad powietrza ulatując ciszę,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Stąd i bohaterowie jego pierwszych poematów są nieraz dziwni i dla nas niezrozumiali: wprawdzie i życie składa się im niepowszednio, a liczne i nadzwyczajne przygody wyrabiają też niezwykle charaktery,

„Kto widział tylko swój dach i swój kurnik
I swoje grzędy i swoją parafią,
Ten nie wie, co czuć może awanturник,
Kiedy go różne losu gromy trafiają..“

tak nam poeta tłumaczy ich zachowanie się i uczucia.
Pewien, naprzykład, wódz arabski, umierając, tak mówi:

„Nie chcę ja raj, lecz proszę proroka:
Niech da mej duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka,
I wiecznie wrzący promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wróćą mej młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takim szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży!“

Otóż takich uczuć my zrozumieć nie możemy, bo choćby ludzie najbardziej nam dokuczali, jednak bez nich nie możemy wyobrazić sobie życia i szczęścia. I sam Słowacki dalekim był od takiej nienawiści względem ludzi, niezmiernie lubił towarzystwo, gawędę wśród dobranego grona przyjaciół, a do serc bliskich, kochających, tęsknił całe życie. Była więc to tylko młodzieńcza chęć odznaczenia się przez opisywanie usposobień ponurych, wydarzeń i uczuć niezwykłych.

Pomimo to jednak, już w pierwszych utworach Słowackiego widać mistrza nad mistrzami. Prześlizną

jest „Duma o Wacławie Rzewuskim,“ który był sławnym awanturnikiem.

W powieści historycznej „Jan Bielecki“ — która najwięcej się podobała, Słowacki przenosi nas w czas panowania króla Stefana Batorego. W zamku brzeżańskim żył dumny i niezmiernie bogaty starosta Sieniawski. W pałacu swym, którego przepych równał się królewskim komnatom, starosta od tygodnia gościł szlachtę okoliczną. Wśród śmiechów jednak i wesela oblicze jego było wciąż zachmurzone nieznaną troską. Dopiero

„Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi: szlachta wstaje, słucho:
— Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie, a ja w krótkim słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.
Słuchajcie! szlachcie obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta ¹⁾ wywiodły
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem
Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrział na mnie i odprawił z niezem.“

Najwidoczniej sprawiedliwość nie była po stronie dumnego magnata. Dzielny król Batory, jak zawsze,

¹⁾ Indukta — rozprawy.

tak i tu, stanął po stronie skrzywdzonego; nieubłagany jednak możnowładca znieść tego nie może i postanawia zemścić się niegodnie.

— „Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawia rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki wałą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem,
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.“

Lecz Sieniawski pozwolić na to nie może, duma jego osnuła piekielny zamiar straszliwej zemsty i w zapamiętałym gniewie woła:

„Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt domu zaorzę.“

Nietrzeźwa szlachta daje się uwieść podszeptom mściwego możnowładcy.

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym okrzykiem.

.....
Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodzony pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi...
Już pojechali....

Tymczasem w kościółku brzeżańskim odbywa się obrzęd zaślubin.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza;
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali,
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od milej w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej swaty za młodym rycerzem,
A dalej bracia husarzy, pancerni,
A dalej, służba w wielkiem stoi kole...

.....
Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżycy półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkova.
Piękna ta szata, a przy takiej szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płonie!

Na zapytanie, dlaczego smutna, poeta odpowiada, że i lilja wodna drży na falach, przeczuwając burzę, a Anna, żona Bieleckiego, — miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmiały liczne wystrzały

I pochodniami świecili kozaki:

Noc księżycowa, widna jak dzień biały.
— „Stójcie!“ — zawołał pierwszy swat, — przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą plugi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...“
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą: sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa:
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił, prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, błądy.

.....
— „Anno! — rzekł — Anno! wracaj, nie mam domu!
Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniósę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zaśląbym się łzami.
Ja nie mam domu!“ Zadrżał i spał konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

.....
Bielecki zniknął, żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie,
Jej serce straszne skolatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścioneł.

Minęło lat kilka i poeta przenosi nas do domu
ojca Anny.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny,
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny

U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.
Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera Świętych poważne żywoty
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucia tęsknoty
I lzy zamienia w płacze nieszkodliwe.
W tem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.

To wysłaniec od starosty Sieniawskiego, zapra-
szający na zabawę, podczas której każdy może się
przebrać w najdziwaczniejsze stroje i twarz zasłonić
maską. — Ojciec Anny jest niezmiernie zdziwiony i obu-
rzony śmiałością starosty, który, zdruzgotawszy szczęście
córki, ma jeszcze czoło zapraszać ją na swe zabawy.
Lecz oto nadchodzi drugi posłaniec od Jana Bieleckiego
z prześlicznymi drogiemi szaty i krótkimi słowy:

— „Anno, bądź na balu!“ — Żona, patrząc na ko-
sztowne stroje, przeczuła nieszczęście, zbladła i rzekła:

O Boże!

Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną.

Podczas wspaniałej zabawy u pana na Brzeża-
nach wśród najbogatszych strojów zwraca uwagę
przybranie Anny.

„Sam król nasz Batory

Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie
W skarbcu królewskim. . Kto jest ta dziewica?..
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.“

Uczta kończy się mordem i pożogą, sprawioną
przez Tatarów, wprowadzonych jako zamaskowani
goście przez Bieleckiego... Wielką była jego krzywda,

ale stokroć większą i nie dającą się niczem usprawiedliwić zemsta, która dotykała nie tylko osobę do której czuł żal, lecz wszystkich, kraj cały! Tym razem Bielecki uchodzi do wroga wraz z żoną, mówiąc:

„Chodź w kraj daleki; tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie, wszyscy przyjaciółmi mymi,
Jest wszystko, luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.“

Ten brak jednak okazuje się ogromnym.
W ostatniej pieśni wygnańcy wracają w progi
ojczyste i tu spotykają się z zasłużoną karą:

Daleko słyhać, wiejski dzwon kościelny
Zadzwoił, zewsząd lud śpieszy przez pole.
Było to święto, był to dzień niedzielny,
Dziś plóg spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroili w kwiaty,
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa:
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tumi się coraz pieśń ludu niknąca,
Ucichła... Księdza tylko słyhać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy,
Niekiedy starzec księdzu odpowiada:
Świergocą wróble i pod szczytem wieży
Pierzehnie jaskółka i w gzymsy zapada.
Msza się skończyła. — Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiaść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył i tak przemówił do ludu:

— „O bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem, z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przysłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam.
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!..“
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby.

.....
Ale za ledwie podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgłęb i zamieszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrzał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie
Kląkł nad nim, ciche przemawiał wyrazy
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.
Ksiądz na ratunek śpieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza,
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrzał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa:
I rzekł: — „Wyklęty! my idźmy do domu!..“
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromada.

Drugim wędrowcem była Anna, która, pomimo przekleństwa ojca, poszła za mężem, więc też i los

jego straszny musiała dzielić do końca. Sama pochowawszy męża, w noc ciemną zastukała do drzwi kościelnych.

Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
Smutne się echo o groby roztrąca;
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,
I coraz słabsze, nikły, jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki...
Dziewica blada na kamiennym progu
Usnęła, może usnęła na wieki..."

Na tem kończy się powieść. — Nietylko więc zdrajca doznał słusznej kary Bożej, ale i tę, która zli-towała się nad wyklętym, porzucili ludzie i musiała zginąć opuszczona.

Oprócz „Jana Bieleckiego“ wyszły w ówczesnym zbiorze „Hugo“, „Arab“, „Mnich“ i „Żmija“. I w tych utworach znajdują się ustępy prawdziwie zachwycającej piękności.

Z podań ludu ukraińskiego Słowacki wyśpiewał poemat, opowiadający dzieje hetmana kozackiego Żmii. — Patrząc na liczne mogiły wojowników, na kurhany, które trawą porośniętymi wzgórkami urozmaicają jednostajność tamtejszych stepów i nie wiadomo już, czyje pokrywają kości, pieśniarz tak śpiewa:

„Tam na mogiłę wstąpił wysoka
Gęślarz i śpiewa pieśni z mogiły;
Jeśli w tych grobach nie śpią głęboko,
Może ich dzikie pieśni zbudziły?
O śpijcie! śpijcie! przyszła wam pora.

I wyście żyli... tu... w Ukrainie,
I wyście żyli... to było wczora!
My dziś żyjemy, czas szybko płynie.
Po cóż tu wracać z licem upiora,
Gdzie nikt nie chodzi po nas w żałobie?
Jutro na naszym powiedzą grobie:
I wyście żyli! to było wczora.

Życie Kozaków upływało w ciągłej wojnie z poganami, na chwilę więc zadumanych nad mogiłą braci pieśniarz wzywa do czynu.

„Płynimy więc! płynimy w natolskie ¹⁾ grody
Burzyć pałace, rąbać fontanny,
Żelazem niszczyć Turków narody
I porwać obraz Najświętszej Panny,
Obraz, co płacze rzewnymi łzami;
A gdy go człowiek w fali zanurzy,
Morze gniewliwie bije falami,
Pieni się, huczy, pryska i burzy,
I póty gniewne podnosi tonie,
Aż wrogów statki w falach pochłonie...”

Oprócz wyżej wymienionych poematów, w pierwszym zbiorze dzieł Słowackiego mieściły się dwa utwo-ry napisane w rozmowach, tak, aby je można było grać w teatrze. Pierwszym był „Mindowe“ — czytany Niemcewiczowi w Warszawie, i „Marja Stuart“, opiewający nieszczęśliwe losy królowej Szkotów, która, jako katoliczka, prześladowaną była przez swych poddanych, wyznających inną religję. Szczególną nienawiść i zazdrość żywiła względem niej Elżbieta, królowa angielska, która później kazała uwięzić i ściąć Marję.

¹⁾ Natolskie czyli Anatolskie: tureckie, w prowincji tureckiej Anatolji leżące.

Pobył Słowackiego w Szwajcarii.

Pierwsze utwory Słowackiego, pomimo licznych zarzutów, jakie im czyniono, odznaczały się niepospolitą pięknnością; w kilka lat jednak potem sam poeta przyznał się matce, że znienawidził je i że czuje potrzebę, aby coś jasnego zapełniło jego karty. Pod koniec życia jeszcze surowiej o nich sądził. Wstydział się swych żalonych tęsknot i narzekań, obawiając się, aby ludzie nie zechcieli z nich brać przykładu. Dążył więc przez całe życie do coraz większej doskonałości.

Pobył w zacisznej Szwajcarii, do której się przeniósł z Paryża, lepiej sprzyjał pracy Słowackiego, niż zamieszkanie w gwarnej stolicy. Już sama droga do tego pięknego, górzystego kraju zachwyciła poetę.

Żeby z Francji przedostać się do Szwajcarii, trzeba przebyć góry Jura; dziś koleją żelazną przejeżdża się je w krótkim czasie, wówczas jednak jechało się sankami. Słowacki tak tę podróż opisuje:

— „Co za rozkosz — śnieg dawno nie widziany, tu sanna, tu po gołoledzi sanki nad przepaścią grożą zatoczeniem się. W dolinie między sosnami stoją opuszczone szalety, domki, w których latem pasterze mieszkają.—Na końcu doliny widać wielką bramę, to jest góry z dwóch stron spływają i kończą wąwóz, a w tem ujściu doliny kawał mgły wisiał do ziemi, jak srebrna zasłona. Słońce oświecało ten zimny i zamarzły obraz.—W oberży samotnej na górze Jura jedliśmy obiad, a po obiedzie pokrzepieni, zaczęliśmy

nową podróż z góry na dół. Dosyć wam powiedzieć, że prędkim klusem jechaliśmy z tej góry godzinę i, porzuciwszy najpiękniejszy czas na górze, wpadliśmy nagle w krainę mgły, tak że spojrzawszy naokoło na śpiący na ziemi obłok, nie mogliśmy wmówić w siebie, żeby o tej porze na szczycie góry słońce świeciło. Zjechawszy z Jury, w pół godziny stanęliśmy na gruncie Szwajcarów.“

Na stałe zamieszkał Słowacki w pięknym mieście Genewie i stamtąd dopiero robił liczne wycieczki po tym malowniczym kraju. Dwie poczciwe szwajcarki, matka i córka, utrzymujące rodzaj hotelu w Genewie przyjęły tak uprzejmie naszego poetę, a z czasem tak się do niego przywiązały, że Słowacki, otoczony troskliwą opieką, mógł w ciszy i spokoju snuć swe piękne pieśni.

W tym czasie powstał poemat dłuższych rozmiarów pod napisem „Lambro“.—Opisuje w nim Słowacki wodza Greków, Lambra, który chciał stanąć na czele powstania przeciw Turkom, ale, nic nie dokonawszy, zginął marnie i przedwcześnie, a to wskutek swej słabej natury, która nie umiała zwyciężyć wad własnych.

Prześliczna przyroda i cisza otaczały w Szwajcarii naszego pieśniarza; zdawało się, że nic mu nie braknie, miał wszystko — jak pisał niegdyś w „Bieleckim“, — „prócz tej ziemi...“ Ale brak ten zaprawiał mu łzami każdy kęs chleba spożyty na obczyźnie, tęsknota za swoimi nie opuszczała go ani na chwilę.

Raz w dzień imienin matki wyjechał z kolegami za miasto. Kiedy jechali, chmury czarne snuły się po niebie — sam tylko Mont-Blanc ¹⁾ świecił się od

¹⁾ Mont Blanc (Mał Błan)—Góra Biała)—najwyższa góra w Europie.

słońca biały. Potem deszcz lunął rześisty — ale po deszczu najśliczniejsza tęcza rozwinęła się przed nim. Wszystko to poruszyło do głębi młode serca, a Słowacki począł po raz pierwszy mówić bez przygotowania wiersze z głowy. Gdy skończył, koledzy ściskali go ze łzami, pili jego zdrowie i zdrowie jego ukochanej matki. List, opisujący tę wycieczkę, poeta tak kończy:

„Najbardziej rozczulającą była chwila, kiedy po różnych pieśniach zaśpiewaliśmy wszyscy pieśń: „—Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny— zmiłuj się nad nami!“ Ten hymn kościoła naszego nieraz mię do płaczu pobudzał — a w tej chwili miał coś ogromnego...”

Patrząc na dostatnie i spokojne życie wieśniaków szwajcarskich opisywał matce ich zamożność, wykształcenie, zabawy i z głębokim smutkiem w duszy pytał: kiedy to u nas tak będzie?..“

Pisał też do matki, że niewiele żąda od życia: chciałby tylko posiadać domek niewielki, lecz własny, i najukochańszą swą matkę mieć przy sobie.—Nieraz marzył też o małżeństwie. Właśnie w tym czasie zjechała do Genewy polska rodzina państwa Wodzińskich. Słowackiemu niezmiernie się podobała panna Marja, córka tych państwa, nie miał jednak odwagi wypowiedzieć swych uczuć, gdyż ukochana była bogatą — nie chciał więc, aby go posądzono, że się chce żenić dla pieniędzy. Chociaż wesolo i nieraz nawet na tańcach czas mu upływał, jednak wiedział, że miłość ta jego nic mu dobrego nie wróży; gdy zaś Marja prosiła, żeby na pamiątkę napisał jej jaki wierszyk, Słowacki—pełen smutnych przeczuć — skreślił kilka następujących zwrotek:

„Byli tam, kędy śnieżnych gór błyszczą korony,
Gdzie w łąkach smutnie biją trzód zblakanych dzwony,
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali...”

Tam byli kiedyś razem — i tam się rozstali.

A po latach — wróconym ojezyźnie pielgrzymom
Bławatkami gwiazdziste kłaniały się żyta —
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,
Wszyscy pod jeden ganek, matka, siostra wita
Synów, braci, przyjaciół.—Są wszyscy—są wszyscy
Przy jednym siedzą stole — przy czarach nalanych —
A wczoraj tak dalecy — a dzisiaj tak bliscy!
I nikogo nie braknie, oprócz zapomnianych ..
Młoda Marja do tańca każe stroić lutnię
I usiadła — spoczywa... Nagle do sąsiada
Rzekła: „ach! kogoś braknie “—Tu podkówka utnie
W takt mazurka. — „On umarł“ — sąsiad odpowiada.
— „Cichoż na jego grobie?“—„Słowików gromada
Śpiewa na srebrnej brzozie cmentarza tak smutnie.
Ze brzoza płacze“.....

Niestety! było to przecucie szybkiego zgonu..
Po wyjeździe państwa Wodzińskich do kraju, Słowacki odczuł nieopisaną tęsknotę i żal ten swój wielki po stracie ukochanej opisał w poemacie pod napisem „W Szwajcarji“. Jest to jeden z najpiękniejszych i najbardziej wykończonych utworów tego poety. Zaczyna się on od słów:

„Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?”

Następnie tak opisuje poznanie się z ukochaną:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy;
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem — dusza.“

W „Szwajcarji“ postać ukochanej łączy się z cudną przyrodą, lodowemi szczytami, pięknemi jeziorami, cichemi parowami—pieśniarz, patrząc na nią i na cudną naturę, doznawał uczuć podniosłych:

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami;
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.

Najdrobniejsze zdarzenie nabierało wówczas w jego oczach rozmiarów wielkich. Gdy raz ruchoma fala jeziora połączyła ich cienie odbite w wodzie, poeta mówi:

„Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżyła, łącząc je rękoma;
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta...
Choć sercem tylko byliśmy złączeni,
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem...
Gdy myślę, boleśń dręczy mię niezmierna
Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

Długi czas Słowacki ludził się, że Marja kocha go, chociaż wyjść za niego nie może; zanim więc jeszcze dowiedział się, że innego sobie za męża wybrała, napisał jeszcze do niej wiersz następujący:

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta!
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.
Znając twój dom, i drzewa ogrodu, i kwiaty,

Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

.....
A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem;
Lecz choć się nigdy — nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabia płaczem.

U grobu Chrystusa.

Słowacki, wciąż tęskniący do kraju, dowiedział się z radością o przybyciu krewnych swoich do Włoch. Chciał natychmiast jechać i zobaczyć się z ludźmi bliskimi, którzy niedawno widzieli jego ukochaną, a tak dawno nie widzianą, matkę. Tymczasem trudności paszportowe sprawiły, że musiał jeszcze spędzić całą zimę w Genewie, w niepokoju i ciągłym oczekiwaniu.

Wreszcie, gdy już tracił nadzieję otrzymania oczekiwanego pozwolenia, przyszedł upragniony dokument. Na wiosnę Słowacki podążył do Włoch, cudownej słonecznej krainy, wsławionej na świat cały ze swej piękności, — umiłowanej przez poetów. Był w Rzymie — stolicy chrześcijańskiego świata, — mieszkał czas jakiś w bogatej Florencji i uroczym Neapolu.

W Rzymie Słowacki zapoznał się z Zygmuntem Krasińskim. Prawie równi wiekiem ¹⁾, obdarzeni od

¹⁾ Z. Krasiński — trzeci wielki poeta polski — urodził się r. 1812.

Stwórcy olbrzymim darem poetyckim — obaj wówczas jeszcze mało rozumiani przez czytelników — ci dwaj genjusze naszej poezji przyłgnęli odrazu do siebie, jako doskonale pojmujące się wzajemnie bratnie dusze.

Można śmiało powiedzieć, że właśnie tu, w murach starożytnego Rzymu, Słowacki po raz pierwszy w życiu spotkał człowieka, który go w zupełności i doskonale mógł zrozumieć, a tym największym przyjacielem jego był właśnie Zygmunt Krasiński.

Tak się też złożyło, że właśnie w tym roku Słowacki doznał wiele niespodziewanych wrażeń. Przyjaciele namówili go i zabrali ze sobą w daleką podróż na wschód — do Grecji, Egiptu i Palestyny, na grób Chrystusa. — „Sześć miesięcy włóczę się jak warjat po świecie — pisał do matki — widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku.“ — Wszędzie jednak, jak cień za człowiekiem, szła za nim tęsknota za krajem i niepokój o matkę.

Z Neapolu wyjechał statkiem parowym:

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słychać dźwięk żelaza szklany.
A jako z płaskiej wieloryba głow^y
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskim bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

Od czasu do czasu statek zatrzymywał się przy brzegu, a podróżni wysiadali, śpiesząc do swych domów; wówczas bólem ścisnęło się serce naszego poety na wspomnienie, że on, jak świat długi i szeroki, nie ma własnego kąta. Myśląc o tem, tak pisał:

Milo powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy uciechną gwary,

Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy.

Z Grecji jechał znowu statkiem do Afryki i tu, nie dojeżdżając do brzegów tej części świata, napisał prześliczny „Hymn o zachodzie słońca na morzu.“

Smutno mi Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą,
Choć mi tak niebo złocisz i morze,
Smutno mi Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głęb serca otworzę,
Smutno mi Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.

Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!

Żem często dumiał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi

Przy blaskach gromu,
 Że nie wiem, gdzie się w mogilę położę,
 Smutno mi Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
 Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
 Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
 Płynąc po świecie!
 Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
 Smutno mi Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
 Anieli twoi w niebie rozpostarli,
 Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
 Patrzący marli....
 Nim się przed moją nicością ukorzę,
 Smutno mi Boże!

W Egipcie najbardziej zadziwiły naszego poetę miasta wschodnie, które budują tam w odmienny sposób, niż nasze europejskie. Podziwiał też starożytny grobowce królów egipskich, zwane piramidami, w których złożono niegdyś zwłoki, tak umiejętnie przechowane, że do dzisiejszego dnia ciała ich i rysy twarzy zachowane zostały.

Następnie jechał Słowacki w towarzystwie swych młodych przyjaciół po gładkiej, rozpalonej od słońca i głębokim piaskiem pokrytej pustyni. W gorących tych krajach podróże odbywają się na grzbietach wielbłądów, noc przepędza się pod namiotami, rozbitymi pod gołym niebem, a za przewodników w tej bezdrożnej pustyni służą ciemnoskórzy Arabowie, w białe płaszczki przyodziani.

Podróż tę Słowacki tak matce opisuje:

„Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie siadać na klęczącego wielbłąda, jak się trzeba trzymać

siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi; lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy kłęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się, a Beduini pędzili nas jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab. Czas był najpiękniejszy. Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kaplicą rosło wielkie czarne drzewo, w którym całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróźny namiot, przez osiem dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę“.

W ten sposób przybyli nieopodal miasteczka El-Arisz, nad granicą państwa Egipskiego i Palestyny, gdzie każdy podróźny musi przebyć dni dwanaście pod dozorem doktora, a to w obawie, aby nie przyniósł panującej w tych pustyniach strasznej zarazy—dżumy.

„Rozłożywszy się pod namiotem—pisze Słowacki—przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie, aż do dna, przerzynała piasku dolinę i szła do morza; za nią wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napełniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szeika, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych na dżumę. Z innych stron wzgórze piaskowe i na nich straży namioty i patrzący na kwarantaną strażnicy w jaskrawych wschodnich ubiorach“.

W ciszy tego piaskowego stepu poeta spędził długich dni dwanaście, podczas których minęły święta Bożego Narodzenia r. 1836. Wówczas też słyszał Słowacki od miejscowego doktora opowiadania o okropnej zarazie, od której całe rodziny wymierały na dżumę. Poeta jedną z takich rozdzierających opowieści opisał wierszem pod nazwą: „Ojciec zadżumionych“ w El-Arisz. Rozpacz nieszczęsnego ojca, tracącego pokolei siedmioro dzieci i żonę, jest tu oddana z taką prawdą i uczuciem, że rzewniejszego i bardziej wstrząsającego obrazu boleści ludzkiej trudno sobie wystawić.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Małeńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina, dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziesięć dromaderów ¹⁾
Chodziło codzieln na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach—warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiewa,
Wszystko tam leży pod kopułą Szecha.
A ja samotny wracam — o! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
Odkąd do mego płócianego dworu
W tej kwarantanie wszedł anioł pomoru.

¹⁾ Dromaderów — wielbłądów.

O! nie wiadoma ta boleść nikomu,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mi będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie — pogrzebione
Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha.
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?

Następnie nieszczęśliwy ojciec opowiada szczegółowo zgon każdego dziecka. Najbardziej obawiał się o ukochaną córkę, więc strwożony, w nocy, przywoływał ją po imieniu:

. Haftę! moja Haftę!
Przyszła, jak ptaszek, cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję,
I przekonałem się, że Haftę żyje,
Słyszac jej serce bijące na sercu,
Ale nazajutrz gróm przyszedł uderzyć...
Córka!!!!—lecz na co z boleścią się szczyżyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna — najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bóle targały zabójcze,
Wolała: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyła.
I tak umarła ta moja dziewczeczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci
A piękną była jak anioł po śmierci!

Gdy już pochował wszystkie dzieci, przyszła kolej na żonę.

„Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kolebce słychać,
A ta pustynia?... Nie masz dzieci—w grobie,
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocista, jasna i weselna?
Lecz dla mnie jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy!
A tam na wzgórzu, kędy morze bije —
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje!
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze!
I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu, jak nocne potwory“.

Po każdym nowym zgonie przeznaczono mu nowych dni czterdzieści odosobnienia od ludzi. Mówi, że wszyscy od niego stronili, nawet ptaki, lecz stało mu się to wreszcie obojętnem:

— „Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień,
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
.....

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście.
Przyszli mi ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o! Boże wiekiusty, świeć mi...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.

Pomimo tej rozpacz, człowiek, dopóki żyje, iść dalej musi w nieznaną mu przyszłość, więc zwinął swój namiot, spakował rzeczy i odchodząc, tak mówił:

„Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga:
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.“

Z El-Arisz Słowacki wstąpił na pamiętną ziemię Palestyny, po której chodził Zbawiciel Świata. Serce drżało mu serdecznem wzruszeniem, duch wznosił się, a każdy najbłahszy przedmiot rozrzewniał go, przypominając przeszłość tej ziemi. Patrzając na lilje, które Bóg odziewa, przypominał sobie, że Chrystus mówił do swoich uczniów, aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata. Gdy zaś wzruszenie wstrząsało nim zbyt silnie, wołał:

— „Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną chodził twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca...“

Niewątpliwie jednak najsilniejszego doznał wrażenia w Jeruzalem, na grobie Chrystusa, gdzie noc całą w samotności przepędził, modląc się za najdroższe upragnienie swej duszy.

Przedtem już zamówił mszę świętą.

Pamiętne te chwile tak matce opisuje:

— „Noc u grobu Chrystusa przepędzona została mi mocne wzruszenie na zawsze. O godzinie 7-ej wieczór zamknięto kościół, zostałem sam i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu. Nademną płonęło 43 lamp, miałem bibliję, którą czytałem do 11-ej. O północnej godzinie dzwon drewniany obudził księży greckich. Różne wiary, każda mająca swą

mniejszą lub większą zagrodę w tym gmachu, budzić się zaczęły na głos tego dzwonu. Grecka bogata kaplica oświeciła się lampami, na górze ormiański kościółek zapalił także świece i zaczął swoje śpiewy. Kopt mający małą drewnianą klatkę, przyczepioną do katafalku, pokrywającego Grób święty, także zaczął w swojej altanie dmuchać na żar i gotować samotne kadzidło. Katolicy także w dalekiej kaplicy zaczęli śpiewać na jutrznię: słowem, po północy ludzie obudzili się, jak ptaszki w gzymsach jednej budowy budzą się, świergocąc każdy po swojemu, o wschodzie słońca... Grecy na grobie odprawiali mszę, potem Ormianie; o drugiej zaś w nocy ksiądz rodak wyszedł ze mszą, a ja klęcząc na tem miejscu, gdzie anioł biały powiedział Magdalenie: „Niema go tu, zmartwychwstał!“—słuchałem całej mszy z głębokiem uczuciem. O trzeciej w nocy znużony poszedłem do klasztoru i spałem snem dziecka, które się zmęczy łzami“.

Balladyna i Lilla Weneda.

Przed wyjazdem jeszcze na Wschód, Słowacki napisał długi poemat pod napisem: „Balladyna.“ Każda osoba występująca przemawia tam za siebie, jak w sztukach pisanych dla teatru, ale nietylko ludzie występują w Balladynie — przemawiają i boginki, i duchy dziwne, i swawolne. Wszystko dzieje się tak, jak w bajce, a jednak osoby występujące tu

mają charaktery i serca zwyczajnych ludzi. Treść Balladyny wzięta jest z pieśni ludowej, którą poeta Aleksander Chodźko tak w krótkości wierszem opisał:

Przez litewski lan
Jedzie, jedzie pan,
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie w srebrze jego sługi;
Jedzie w gościnę...

Przyjechał na dwór,
Do matki dwóch cór:
— Matko, matko masz dwie róże,
Obie kraśne, obie hoże,
Daj mi jedną z nich“.

Matka prosi wnijść,
Każe córkom przyjść;
Lecz pan równie obie kocha,
I tę trocha, i tę trocha:
Któż tu wybrać?

Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj:
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie panią.

Słońce się z za drzew
Rumieni jak krew;
Krwawą luną gaj ozłaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszej niema.

Na jej czarnej brwi
Niby krople krwi;
Któż wie z jakiej to przyczyny,
Od kaliny czy maliny,
Może to nie krew?

— „Oto malin dzban;
Gdzie mój mąż? gdzie pan?
Siostra już nie wróci z gaju,
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk?“

Pan rozesał sług
Do gaju, nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali:
Niema i niema.

Pan miał złota wór,
Murowany dwór,
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą
Z krasawicą urodziwą
Z tą córką starszą.

A gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj,
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskaniem, z wrzaskiem biegł do matki:
„Ach, mam, mam!“

„Otóż dudkę mam,
Otóż pięknie gram;
Dudka moja osobliwa,
Jak siostrzyczka moja śpiewa,
Słuchaj piosenki:

„Graj, Michasiu, graj:
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże nad bławatki,
Dwie nas kwitło w domu matki,
O moja wiosno!

Ach, lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie,
Dzika wierzba na kurhanie,
O moja wiosno!“

Dziko, synu, grasz!
Skąd tą dudkę masz?“
— „Dudkę skręcałem w gaju
Z dzikiej wierzby przy ruczaju,
Przy krzaku malin.“

Pani pobladła,
Jak stała, padła;
Ileż straty, ile szkody,
Wiesz tak wielka, mąż tak młody,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łąn
Jedzie, jedzie pan:
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żalobie jego sługi
Przy trumnie pani.

Z tej krótkiej piosenki Słowacki wysnuł długą
i prześliczną opowieść.

Przyjrzyjmy się jej bliżej.

Rzecz dzieje się za dawnych czasów, które nazywamy bajecznymi. Ostatni potomek okrutnych Popielów zasiada tron królewski nad jeziorem Gopłem, a do władzy doszedł przez wypędzenie brata i zamordowanie jego dzieci. Nieszczęśliwy, wygnany brat, zapomniany przez wszystkich, pędzi w głębi puszczy żywot bogobojny pustelnika. Ludzie nawet nie podejrzewają, że w osobie skromnego odludka kryje się prawowity władca korony polskiej.

Tymczasem każdy w razie choroby, lub ciężkiej potrzeby śpieszy do chatki pustelnika po mądrą radę i lekarstwo. Nieszczęścia zaś spadają na kraj coraz okropniejsze, gdyż król pustelnik zdołał unieść ze sobą cudowną koronę, którą z błogosławieństwem nosili królowie polscy od czasów króla Lecha. —

Okrutny Popiel nosi na głowie fałszywą koronę, nie dziw więc, że i szczęśliwość wszelka kraj odbiegła. Prawdziwa korona ma własności cudowne, gdyż pamiętała kołyskę Chrystusa:

Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona;
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał: „caca!..“ i na brylant biały
Różowych ustek perełkami świecił..

Odkąd cudowna ta korona znikła z królewskiego skarbcza, coraz gorzej dziać się poczyna w biednym kraju.

W tym czasie właśnie do odludnej chatki pustelnika przybywa dzielny i bogaty rycerz, Kirkor. Przychodzi on po radę do mądrego pustelnika: pragnie ożenić się, ale chciałby znaleźć dziewczę:

Białą, jak w rękę anielskiego stróża
Kwiat liljowy. Niech jej słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna. Gdzie taka dziewczica?

W biednym pustelniku Kirkor poznaje prawdziwego króla i przyrzeka pomścić go i tron mu przywrócić. Co zaś do wyboru żony, to pobożny starzec radzi mu szukać ukochanej nie pod złocistymi dachami królów, ani w pańskich pałacach, ale w biednej, niskiej lepiance.—Kirkorowi w drodze do domu łamie się wóz na jakimś mostku, nie mając gdzie się schronić, szuka noclegu w pobliskiej wiosce i natrafia na chatę wdowy, matki dwóch pięknych cór: Balladyny i Aliny.

Kirkor, jak w piosence, za przyczyną swawolnego ducha Skierki pokochał obie dziewczyny, a gdy

starszą, czarnobrewą Balladynę zapytał, jak go będzie kochała, ona mu odpowiedziała bez wahania:

O panie! jeśli w zamku są czeluście,
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć, to wskoczę. Jeśli na odpuscie
Książd nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeśli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę..
Czegóż chcesz więcej?

Słodka zaś i skromna Alina przyrzekła mu tylko „kochać i być wierną...” i jeszcze nieśmiało dodaje:

Jeśli mnie wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twój zabierzesz
Z matką i siostrą... Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać?
Ona nie może zostać w biednej chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz, ona siwa, jak różyczka biała.

Kirkorowi podoba się dobre serce Aliny, lecz i Balladyna, usłyszawszy prośbę siostry, zapewnia, że i ona nie chce rozstać się z matką i siostrą. Wówczas Kirkor zgadza się zdać sprawę na los:

Matko! w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny:
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

Gdy na tem stanęło, siostry tak ze sobą rozmawiają:

Alina. Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!

Balladyna. Jeszcze nie złowione,
To szczęście, siostrzo, może nie dla ciebie...
Alina. O! moja siostrzo! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową:
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą.
A tobie trzeba jutro wziąć się ostro —
Do tych malinek, bo wiesz, ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek...

Balladyna. Mileż!..

Alina. Ha, siostrzyczko? a ja wiem dlaczego
Malin nie zbierasz...

Balladyna. Co tobie do tego?

Alina. Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... A gdybym kochała
Wzajem kochana, rolnika, pasterza
To jużby żaden Kirkor...

Balladyna. Nie chcę rady
Od głupiej siostry.

(Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala
świeczkę i ukrywszy ją w dłoni wychodzi).

Alina. Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?
Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,
A jam widziała na kwiatach ugora,
Ba! i pod naszą osiną słyszałam
Sto pocałunków... przebacz mi, o! Chryste,
Że sądzę miłość, której, ach! nie znałam...
(Klęka).

Widzisz, moj Boże! ja mam serce czyste,
A przysięgając, nie złamię przysięgi...
Boże! ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wisienkę czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpie... wszędzie czerwone maliny:

Ze słowami „maliny, maliny!“ usypia piękna
Alina.—Następnie poeta przenosi nas w świat nieby-
wały i nie spotykany nigdy, chyba w starych baj-
dach i opowieściach. Występuje tu boginka Goplana,
której postać utkana jest z lekkiej fali jeziora Gopła:

I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody, jak rybka —
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po falach przezroczu
Brylantowe iskry skrusza.
Ach czarowna! Któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładzie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

Istota ta dziwna i piękna zakochała się w gbu-
rowatym parobku Grabcu, owym szczęśliwym kochanku
Balladyny. Ona to przez sługi swe—Skierka i Cho-
chlika—złamała most pod wozem Kirkora i doprowa-
dziła go do chaty wdowy. Goplana życzy sobie, żeby
Kirkor poślubił Balladynę i w ten sposób uwolnił ją
od niebezpiecznej współzawodniczki. Skierka, nie zro-
zumiawszy dobrze rozkazu swej pani, zlał miłość Kir-
kora na obiedwie córki. Teraz wypadek ma wszystko
roztrzygnąć, a przytem Goplana czuje się rozpaczo-
ną, gdyż Grabiec nie rozumie się na jej piękności.
Nazywa ją wprost rybą, galaretą, szklaną zmorą,
koczkodanem, chwając sobie karczmę, gorzałkę i dzie-
wuchy przy sianożęci. Rozgniewana boginka tak na
niego woła:

Więc poznaj władzę Goplany!
Wrośnij w ziemię i z tej ziemi
Wyrośnij korą odziany
Z liśćmi płaczącymi.

Grabiec przy tem zapada się w ziemię i wierzba na tem miejscu wyrasta. Tymczasem właśnie u stóp wierzby przy krzaku maliny spotykają się dwie siostry, zbierające jagody. Alina ma już pełny dzbanek, Balladyna zaś „śród jagód chodzi obłąkana“ zazdrość, niepewność targają jej złem sercem. Wówczas słodka Alina, widząc rozpacz siostry, gotowa nawet oddać jej swój dzbanek, ale waha się trochę, tłumacząc się w ten sposób:

Bo też widzisz, siostrzo, że ten dzbanek
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek
I wszystko moje!...

Balladyna, obłąkana zazdrością i gniewem, nie słyszy słów siostry, zabija ją i wnet mówi: „Co moje ręce zrobiły?..... O!..... Któż zabija za malin dzbanek siostrę?“ A duch Grabca, zaklęty w wierzbie, woła: „Jezus, Marja!..“

Zbrodnią tą Balladyna osiąga to, czego najbardziej pragnęła, i odtąd postanawia sobie: „żyć jak gdyby Boga nie było“. Łatwo to jednak powiedzieć, ale w istocie okazuje się, że o złem czynie zapomnieć nie można:

„Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczy: zabita — zabita — zabita!
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?
Chciałam krew obmyć: — z błękitnego zdroja
Patrzyła twarz jej blada i milcząca...“

Pomimo bogactwa, wygod i przepychu, Balladyna przychodzi do przekonania, że wyrzuty sumienia ścigać ją nie przestaną:

„Rankiem głos sumienia nudzi,
Nad wieczorem dręczy i przeraża,
A nocą ze snu okropnego budzi...“

Oprócz wyrzutów sumienia, został Balladynie i znak widomy jej okropnej zbrodni: kropla krwi zastygłej na czole nie daje się niczem ztrzeć. Balladyna, żeby ukryć tę plamę, nosi na czole przepaskę, która dziwi wszystkich i o której zdjęcie mąż napróżno prosi żony. Na drugi dzień po ślubie szlachetny Kirkor wyjeżdża, żeby spełnić przyrzeczenie dane pustelnikowi, a gdy ten wstrzymuje go, Kirkor najważniejszej sprawy ani na chwilę odkładać niechce. Nie dla chwały też i bogactwa, którego ma dosyć, pragnie przyłożyć się do dobrej sprawy. Żegnając się z pustelnikiem, tak mówi:

„Całą ci ojczyznę
Włożę na barki; a gdy będziesz dźwigał
Rzeczy i ludzi, to ja się zakopię
W zamku spokojny. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje, na rękach kołysał,
O to się modłę. Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
Biały gołąbek i pod skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiech i sen pod lipami
Dają smaczniejszy... Król mi pozazdrości
Żony i dziecka i lipy i chłodu,
I snów pod lipą i złotego miodu.
Żegnaj mi, żegnaj! Nim słońce zaświeci,
Będę w stolicy. Hop! hop! na koń, dzieci!

Tymczasem Balladyna podejrzywa, że Kirkor wyjechał szukać ciała Aliny, które pozostało w lesie. Matkę zaczyna też dziwić czerwona plama na czole córki, której

Woda z pod topoli
Obmyć nie mogła... o! córko kochana...
To jakaś dziwna i okropna rana,
Bledniesz, by o niej wspomnieć...

Podejrzenia te dręczą i niepokoją zbrodniarkę. Nastęrcza się też Balladynie godny jej pomocnik, kusiciel, pochlebca, prawdziwy zły duch w osobie dworaka jej męża, Kostryma, Niemca. Z jego pomocą dokonywa ona licznych zbrodni i wypędza matkę z męzowskiego pałacu.

Grabiec z wierzby czarodziejską mocą przedziergnięty znowu w zwyczajnego parobka, dowiaduje się o ślubie Balladyny, a gdy wszyscy dziwią się, że o tem znanem we wsi wydarzeniu nic nie wie, Grabiec opowiada: „rośłem“, a dzieci, wpadając w rym, wołają: „Grabiec był osłem!..“ Pomimo tak złego mniemania, jakim go darzą we wsi rodzinnej, Goplana wieńczy go prawdziwą koroną Lecha, wykradzioną czarodziejskim sposobem.

Prześliczny i pełen grozy jest opis uczty na zamku wciąż jeszcze nieobecnego Kirkora.

Balladyna przyjmuje z całą okazałością ukoronowanego Grabca, gdy zjawiają się posłowie od jej męża. Goniec oznajmia, że lud chciał Kirkora okrzyknąć królem, ale rycerz odmówił, tak mówiąc:

O Lachy! ja nieznanym rycerz,
Nie mogę przesławnemu władać narodowi;
Com uczynił, czyniłem nie dla wyniesienia
Głowy mojej, czyniłem to dla szczęścia ludu.
Jam stworzony do ciszy wiejskiej i prostoty,
Dla mnie za ciężką nawet była godność Grafa
I zniżyłem ją szczeblem, pojąwszy w małżeństwo,
Zamiast jakiej królowej, ubogą chłopiankę;
Ona, zamiast herbowych znaków, połączyła
Z herbami moimi dzbanek pełen malin...

Na to oburzona Balladyna, która chciałaby panować i być królową, wykrzykuje po trzykroć: „Kłam-

stwo!“—Goniec też Kirkorowy opisuje szczegółowo, jak wygląda prawdziwa korona Lecha, i oznajmia, że kto ją posiadał, powinien zostać uznany jako prawowity monarcha. Głupiemu Grabcowi każdy hołd składa.

Gdy w ludowej piosence syn zbrodniarki śpiewa na fujarce pieśń, w której znajduje się opis całej zbrodni,—tu Skierka, mianowany przez Grabca pierwszym ministrem, śpiewa o strasznym czynie dokonanym przy zaklętej wierzbie... Balladyna jednak nie umiera z przerażenia, jak w piosence, tylko drży i blednie; a gdy Grabiec, który wie o jej zbrodni, każe podać maliny i ukazuje się jej cień Aliny z dzbankiem malin na głowie, Balladyna, mdleje. Jestto jednak tylko chwilowa słabość, gdyż tejże nocy z Kostrymem, Niemcem, zabijają Grabca i Balladyna sobie przywłaszcza koronę cudowną.

Często się zdarza i w życiu, że zło nad dobrem zapanuje, tak i tu, gdy wszyscy szlachetni i dobrzy giną, jak pustelnik, Kirkor, Alina—tylko zbrodniarka Balladyna dochodzi do najwyższego stopnia zaszczytów i chwały — gdyż zostaje królową.

Dumna i wspaniała, zasiada na sądach. Wówczas biedna, ociemniała wdowa przychodzi ze skargą na rodzoną córkę, która wygnała ją z bogatych swych pałaców. Jeden z pomocników tak mówi królowej:

Lechitów ustawa
Śmierć przypisuje na niewdzięczne dzieci.
Niechaj cię księga naszych praw oświeci,
Czytaj... i czytaj we własnym sumieniu.
A ty, staruszek, nazwij po imieniu
Wyródną córkę, a kat ją ukarze,
Chociażby z pierwszym grafem w parze
Los ją powiązał... Powiedz grafa miano
I córki imię, a prawa dostaną
Przez mury zamku jej serce i głowę.

Wdowa. „Co? śmierć na córkę?.. Panie, bądź mi zdrowy.
Żegnaj królowo, ja wracam do boru,
Będę żyć rosą...“

Lecz „podług ustaw tronu, kto zaniósł skargę,
odstąpić nie może...“ biorą więc nieszczęśliwą staruszkę
na męczarnie, aby w ten sposób wyznała imię
zbrodniarki. Niewidoma matka woli najgorszą mękę,
niż dziecko swe na śmierć skazać. Wkrótce przycho-
dzą oznajmić okrutnej Balladynie, że nieszczęsna mat-
ka wśród zadawanych jej męczarni

Umarła cicho... A na suchej twarzy
Dwa wykopała dolki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łyzy.

Lud oburzony żąda sprawiedliwego wyroku na
ohydną córkę, „dla której matka taką śmiercią kona.“
Balladyna ma wydać wyrok, a przytem męczy się
i waha.—Lud woła, że owa występna córka

„zaprawdę winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny...“

Wówczas królowa zmuszona jest wydać wyrok
na samą siebie i z najwyższym przymusem wymawia:
„winna śmierci!..“

Lecz ona to właśnie — Balladyna — jest ową wy-
rodną, okrutną córką. Przepęlniła się czara jej wy-
stępków na ziemi—i oto spotyka ją aż nadto zasłu-
żona kara nieba.

Piorun uderza w nią i zabija.

Na tem kończy się straszna opowieść o zbrodni-
czem życiu okrutnej Balladyny.

Powieści tej nie można czytać jak prostą baj-
kę, napisaną dla zabawy: w Balladynie mieści się

myśl głębsza, która nas poucza o stosunku można-
władczej szlachty do innych stanów w społeczeństwie.
Tak szlachta, jak i lud, wyszli z jednego, wspólnego
pnia narodowego—byli dziećmi jednej matki, jak Bal-
ladyna i Alina. Z pomocą stanu rycerskiego, którego
uosobienie znajdujemy w szlachetnym Kirkorze, szlach-
ta gnębi lud, a sama dochodzi do ogromnego w kra-
ju znaczenia.—Jak Grabiec do Balladyny, tak stan
biednej, głupiej, szaraczkowej szlachty, Ignie wciąż
do możnowładztwa, a ono, wciąż się swobodami szla-
checkimi zaślaniając, przypochlebia mu i jak głupiego
Grabca koronuje, żeby przyznając mu wszechwładne
w kraju znaczenie; wkrótce jednak możnowładztwo,
jak z początku Alinę, to jest lud, tak potem zamordo-
wuje i Grabca—to jest zapanowuje i nad biedniejszą
szlachtą.

Nieprawości jednak Balladyny sprawiają męczeń-
stwo matki, nieszczęśliwej wdowy, która przez wy-
stępkę najstarszej córki cierpi straszne męczarnie i ko-
na wreszcie, jako męczennica.

W godzinie sądu możnowładztwo samo poczuwa
się do winy i skazuje się na zagładę—i rzeczywiście
czasy, w których szlachta coś znaczyła, mijają bezpo-
wrotnie. W burzy dziejowej władzę jej i znaczenie
piorun niebieski zburzył i spalił, jak Balladynę. —
Z innych osobistości poematu—Goplana ma wyobrażać
ślepy przypadek, który płacze i nie wie gdzie
popycha losy ludzkie. Pustelnik zaś przedstawia
władzę królewską, która miała w Polsce bardzo małe
znaczenie i zawsze była skępowaną przez szlachtę.

Równie pięknym jak Balladyna poematem jest „Lil-
la Weneda“, w której Słowacki opisuje walkę dwóch
ludów: Lechitów z Wenedami.

Lechici są ludem młodym, rycerskim, pełnym siły; przybyli oni zdaleka zawojować Wenedów, którzy całą nadzieję zwycięstwa pokładają nie we własne siły, ale w czarodziejską moc harfy swego króla. Kto nie ma wiary we własną moc i własną siłę, a liczy na coś lub na kogoś, ten zginąć musi; tak i Wenedzi blizcy są zagłady, lepsze jednak duchy w narodzie tego pragną, aby przynajmniej honor ich był uratowany i aby walczyli do ostatniej kropli krwi.

Jak w Balladynie, tak i tu, występują dwie siostry: Róża Weneda i Lilla Weneda, córki królewskie.

Róża starsza jest kapłanką i, wieszczką pogańskich Wenedów—nadewszystko kocha ona kraj swój ojczysty i przemyśliwa nad uratowaniem go od najeźdców. Rozsyła harfiarzy na wszystkie strony i przywołuje lud cały do walki. Nie myśli ona o szczęściu, ani o życiu pojedynczych osób, nawet należących do jej najbliższej rodziny, gdyż ma na sercu troskę o pomyślność całego kraju. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“ mówi. — Gdy z pola walki nadchodzi wieść, że król z cudowną harfą i dwaj jej bracia, skuci łańcuchem—Lelum i Polelum — zostali wzięci do niewoli, Róża wołałaby dowiedzieć się, że oni zginęli, niż że dostali się do sromotnej niewoli. Inaczej wieść tę przyjmuje młodsza córka królewska Lilla, tkliwa i kochająca. Dowiedziawszy się o niewoli ojca i braci, postanawia ich oswobodzić, tak mówiąc:

„Ja braci moich, ojca mego zbawię,
O błogosław ty mi sestro moja —
I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!

O, bądźcie zdrowi! Nie troszczcie się o mnie.
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest ze mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata.
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młoda —
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny!“

Lilla udaje się do okrutnej Gwinony, żony króla Lecha, aby prośbą ująć tę złą kobietę. Na nieszczęście przybywa zapóźno, gdyż ukazują jej ojca z wyłupionymi już oczyma. W najwyższym oburzeniu, gdy Gwinona grozi jeszcze, że ma władzę zamordować króla, Lilla tak mówi:

„Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy;
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą,
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno.“

Gwinona bierze za słowo Lillę Wenedę i natychmiast wymyśla pierwszą wyszukaną męczarnię, dając rozkaz następujący:

„Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dziobią kruki; dla większej męczarni,
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.“

Lilla nie traci jednak nadziei ocalenia ojca i idzie do króla Lecha, który ma lepsze, niż żona, serce.

Tymczasem chór złożony z dwunastu harfiarzy, który ma podtrzymywać upadające w narodzie serca, tak śpiewa:

Oczy wydarto staremu królowi,
Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszą starą kość strach idzie mrowi,
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasze!
Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!
Niech spojrzysz w piersi wróg, niech patrzy w czasie:
Czasze nalane krwią, serce rozpaczą,
Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga.
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur,
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór.
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

W najwyższej trwodze o ojca Lilla Weneda wy-
myśla podstęp i taką myśl poddaje okrutnej Gwinonie.

Dwóch macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w ręce topór wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?

Gwinona. Przywieść tu jeńców.

Lilla Weneda. Lecz królu! lecz królu!

Jeśli brat mój, rzuciwszy toporem,
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy
Pomiędzy drzewem, a starego głową:
Jeśli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni... czy przyrzekasz?

Lech. Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.

Lilla Weneda. Oba?

Lech. Tak oba,

Lilla. I mój ojciec?

Gwinona. Do mnie należy ojciec... zbaw go tak trzy
A będzie wolnym... [razy

Lilla Weneda, znając zręczność braci w rzucaniu
mieczem, błaga, żeby który z nich zdecydował się na
straszłą próbę. Bracia ci, Lelum i Polelum, skuci są
ze sobą jednym łańcuchem.

Lilla tak ich zachęca:

Ojciec na drzewie powieszony skona,
Jeść mu nie dano, ani pić... on skona!
On was nie widzi.. wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy,
Jeżeli umrze... o śmierci nielitośną
Swego własnego syna nie posądzi..
Polelum... topór weź, ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało.

A brat tak zręczniejszego zachęca brata:

Gdyby nie serce w tobie — tobyś trafił,
Więc zatruj w sobie serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łono ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...

Syn jednak wciąż się waha, dopiero gdy Gwino-
na poczyna naigrawać się, że na taki czyn Wenedom
nie starczy odwagi, Polelum woła:

— „Bezczelna!

Ja się odwagi mojej własnej boję..
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucić topór.
O tem ciśnięciu straszliwym Weneda
Będzie wam śnić się...

Chór dwunastu harfiarzy tak o tem śpiewa:

O, synu! serce twe z boleści pęknie,
O! córko! ojca twego krew cię splami!
O! biada wam! o! biada, niewolnicy!
Mięsza się wasza krew z waszemi łzami!
Serca dajcie krew pod dziób orlicy,
Ona wyściela gniazdo waszymi włosami
O! niewolnicy!

Zemsta! zemsta! dopóki serce bije—zemsta!

Zasłona spada i dopiero w następnej odsłonie dowiadujemy się przez usta króla Lecha, na czem skończyła się straszna próba:

Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
Drzazgi z żelaza rozsypane skrami,
Jużem się lękał, że w topora jęku
Zarąbanego starca jęk usłyszę:
Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
Jak widmo, z włosiem równo odrąbanym,
Odstał; krwawemi łzami zapłakany,
Z obliczem pełnem boskiego uśmiechu...
Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
Nasze mogiły...

Drugą próbą, zapomocą której córka ma uratować ojca, jest rzucenie króla Wenedów pomiędzy węże. Lilla jednak bierze ze sobą cudowną harfę i śpiewem swym tak działa na pelzające gady, że stają zdumione i słuchają śpiewu, nie czyniąc najmniejszej szkody ani jej, ani ojcu.—Jako trzecią i ostatnią próbę okrutna Gwinona wymyśla skazanie króla Wenedów na głód i zamknięcie. Wówczas Lilla tak prosi Gwinony:

O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
Ja biedna zimne węże rozczuliłam,
I tak się do mnie gady przywiązały,
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies wyjący smutnie z przywiązania.
I cóż ja winna, że węże wołały
Słuchać mej pieśni, niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dlaczegóż w tobie powiększyłam srogość?
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
W czoło chcę tylko pocałować zimne,
Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.
O! patrz! koszula moja nie związana,

Nie niosę chleba, ani żadnej strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci ze mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje?.. O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi:
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego...

Prośby Lilli rozczulając znowu Lecha, za którego wstawieniem się Gwinona pozwala jej wejść do ojca. Wkrótce córka wraca uszczęśliwiona i woła radośnie:

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W lilijach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
Lilije wodne nas od głodu bronią.
Ilekoć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinnialemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój!.. jam go zbawiła.

Tymczasem serce okrutnej Gwinony zapalało nową zemstą i żalem do Wenedów, którzy podczas walki zabrali do niewoli ukochanego jej syna Lechona. Dowiedziawszy się, że czarodziejska harfa Weneda jest mu równie drogą, jak rodzone dziecko, każe mu wybrać pomiędzy Lillą a harfą.

Krwawi się żalem serce starca, wybór tak trudny!..
Córka, dziecko najmłodsze, tak ukochane, które od

trzykrotnej, niechybnej ocaliło go śmierci, a harfa — od niej przecież zależy zbawienie upadającego w nierówną walce całego narodu Wenedów. — Lilla sama skłania ojca, żeby wybrał harfę, jednak serce jej się ściska, gdy ojciec tuli się do zwróconej mu harfy:

„O patrzcie! patrzcie! — (woła zrozpaczona córka)
„Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią... O! struny! o! struny!
Wy nie jesteście córkami... Królowo,
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz, ty pani, że ja teraz płaczę
Dlatego, że mnie ojciec mój porzucił,
O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość!
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec liljami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulił rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnym więzieniu... i lzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.

Król Wenedów nie traci nadziei odzyskania córki, gdyż za zwróconego syna Gwinony obiecują odesłać mu Lillę. — Tymczasem między walczącymi narodami wre bój straszliwy na śmierć i życie. Róża Weneda z niepokojem wygląda powrotu ojca, gdyż

„Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą na kamiennym tronie
Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszana; to przy nas zwycięstwo“.

Pieśń to niezwykła, potężna:

„Każdy harfy ton, jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym,
Jako rycerz duch każdy leci

I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle węzów wybieży
Z harfy ojca i oczyma zaświeci
I skrzydłami ognistymi okręci
Wojsko Lecha“.

Tymczasem gdy w najwyższej niecierpliwości oczekują na harfę i gdy przyniesioną od Gwinony skrzynię otwierają, zamiast harfy, ukazuje się przerażonym widzom zamknięty w niej trup zamordowanej Lilli Wenedy. Nieszczęśliwy, niewidomy ojciec, przebierając po twarzy i włosach zamordowanego dziecka, poznaje wkońcu straszną prawdę i woła:

„O! o! umarła — Czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał.—Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę!.. o!.. ja znajdę
Twoje usteczka... O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!“

W rozpaczliwej walce Wenedzi giną, ale giną z chwałą, i nikt z nich nie pozostaje, aby iść do niewoli. Lelum i Polelum giną dobrowolnie na stosie, nie chcąc przeżyć ogólnego upadku.

Jedyną, która ocalała w walce, jest wieszczka Róża Weneda; wyjmuje ona z popiołów łańcuch, którym przykuci byli Lelum i Polelum, i rzucając go Lechowi pod stopy, mówi:

„Patrz! co zostało z twoich niewolników.“

Uczta wieszczów.—Inne utwory Słowackiego i jego ostatnie chwile.

Tak Balladyne, jak i Lille Wenedę, Słowacki poświęcił Krasieńskiemu, bo ten wielki poeta najlepiej pojmował jego wzniosłą duszę,—jemu więc niósł w ofierze „swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty.“—Mówi też, że skuwając jednym łańcuchem ręce dwóch Wenedów, „łudzilem się—słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą...“

Spółceństwo polskie, oczarowane prostym a rzeźwym genjuszem Mickiewicza, z obojętnością przyjmowało niezbyt zrozumiałe utwory Słowackiego.—W duszy poety gromadziła się kropla żalu do olbrzymiego wieszca, który mu odbierał sławę, całą miłość i uwielbienie współbraci. Jednak, gdy przeczytał „Pana Tadeusza“, odcień niechęci znikł z jego serca, a natomiast zajęło je uwielbienie. Gdy dowiadywał się, że Mickiewicz cierpi niedostatek, ubolewał nad tem z prawdziwym współczuciem i oburzał się na rodaków, którzy chyba kupują tylko „kalendarze“, a żałują na utwory najwyższej wartości.

Gdy Mickiewicz rozpoczął sławne swe wykłady w Paryżu, Słowacki mieszkał w tym mieście i nieraz spotykał się z wieszczem. Najpamiętniejsze jednak i niczem nie zatarte wrażenie zrobiło na współczesnych spotkanie się dwóch poetów na uczcie, którą wyprawiono Mickiewiczowi w dzień jego imienin, a więc podczas wigilji w roku 1840.

Obaj natchnieni wieszczę przemawiali w cudnych wierszach. Słowacki w następujących słowach wyraził swe uwielbienie dla Mickiewicza:

„Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska:
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.“

I w sobie jednak Słowacki czuł olbrzymiego ducha poezji, uważał też, że nie powinni patrzeć na siebie jak „wrogi, lecz jak dwa na słońcach swych przeciwnych—bogi“.—Wyrażał się on tak, chcąc określić potęgę i znaczenie poezji i poetów.

Mickiewicz odpowiedział mu z wielką prostotą. O sobie tak się wyraził:

„Ja rymów nie dobieram i wierszy nie składam:
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam.“

Przypominał Słowackiemu lata młode, gdy widział go jeszcze dzieckiem, tłumaczył przeznaczenie poetów i zakończył temi wzniosłemi słowami:

„Dla poety jedna tylko droga! Stąd (tu wskazał na serce) przez miłość—tam—do Boga!..“

Wszyscy obecni tak byli wzruszeni przemową obydwoh wieszczów, że, powstając od stołu, poczęli się ścisnąć, całować, a najpierwszy Słowacki rzucił się w objęcia Mickiewicza. Niektórzy z obecnych mdleli ze wzruszenia, jakie czyniły na nich potężne słowa poetów. Ogólne było zdanie, że „żaden z poetów nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony. Jeżeli który z dwóch zwyciężył, to ten, co czuł więcej, co szczerzej dłoń drugiemu ścisnął“.

A jednak złośliwe ludzkie języki, które nieraz

- bywają stokroć gorsze, niż serca, poważniły znów tak szczerze pogodzonych wieszczów.

+ Zawsze stosunek Słowackiego z Zygmuntem Krasińskim był bliższym, niż z Mickiewiczem. Krasiński też zwrócił uwagę Juliusza Słowackiego, że wiersze jego nie mają u ludzi takiego znaczenia, jak na to zasługują, bo w pieśniach swych zanadto odrywa się od życia rzeczywistego. — „Na świecie więcej jest wątrób, niż serc — mówił Krasiński, a to miało znaczyć, że ludzie wolą ciętość, dowcip, nawet gorycz, niż łagodne, słodkie, chociażby najpiękniejsze baśnie. Idąc więc za radą swego najlepszego przyjaciela, Słowacki napisał Beniowskiego, utwór dziwny, iskrzący się dowcipem i humorem; snuje się on jak jakaś bezładna gawęda, w której główna treść powieściowa coraz się rwie, dając miejsce rozmyślaniom i własnym uczuciom samego poety. W poemacie tym Słowacki opisuje dzieje biednego szlachcica Kazimierza Beniowskiego, który stracił majątek i włóczy się samotnie po świecie, cierpiąc wiele, bo nie jest zwykłym człowiekiem:

„Przez całą młodość pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie“.

Beniowskiego nie doprowadził Słowacki do końca. Inne, późniejsze utwory jego, uważane są za znacznie gorsze, jednakże znajdują się pomiędzy nimi i takie, które odznaczają się wzniosłymi myślami i prawdziwie pięknym wierszem.

Ostatnie lata życia Słowacki spędził w Paryżu, wyjeżdżając tylko latem nad morze, aby tam wzmocnić nadwątlone siły.

Już na kilkanaście lat przed śmiercią męczyła

go wciąż straszna choroba piersiowa, odziedziczona po ojcu. Żyjąc w odosobnieniu, otoczony tylko niewielkim gronem przyjaciół, Słowacki doskonalił się i coraz wznioślejszymi przymiotami przyozdabiał swą wyjątkowo wzniosłą duszę.

Kto znał Słowackiego za lat jego młodzieńczych i obecnie, nie mógł wyjść z podziwu, gdzie się podziała jego dawna duma, wyniosłe obejście się z innymi, nienasycona chęć sławy i przygnębiający smutek, którym lubił się otaczać. Dziś był wesołym, kryjąc smutek w najtajniejsze zakątki duszy. Dla ludzi był łagodnym, współczującym. Miał jakąś biedną przez wszystkich opuszczoną staruszkę, którą odwiedzał, bawił rozmową, a gdy umarła, sam jeden poszedł za jej trumną.

Do dzieł swoich nie przywiązywał już takiej, jak dawniej, wagi; skutkiem tego wiele utworów jego zaginęło w części, lub w całości, co stanowi dla nas olbrzymią i niczem niepowetowaną stratę.

Dwa tylko uczucia silne i potężne nie uległy w sercu jego żadnej zmianie,—jak dwie gwiazdy przewodnie przyświecały mu przez całe życie i z biegiem lat rosły tylko i potężniały: — tęsknota za krajem i matką szła wciąż za nim i ścigała go zawsze i wszędzie.

Gdy pewne młode dziewczę prosiło poetę, aby jej wracającej do kraju napisał na pamiątkę jaki wiersz, Słowacki skreślił następujące wyrazy:

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi.
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.

Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj—bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone

Będą ci całe poemata składać.

Jabym to samo powiedział, co one,

Bo ja się od nich nauczyłem gadać;

Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,

Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości

I dalej los mnie nieszczęśliwy goni.

Przywieź mi Zośko od tych gwiazd światłości,

Przywieź mi Zośko z tamtych kwiatów woni,

Bo mi zaprawdę odmłodzić potrzeba.

Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba”.

Najgorętszem pragnieniem tak matki, jak i Słowackiego było zamieszkać razem i żyć spokojnie jedno przy drugim. Z powodu jednak małych środków nietylko że mieszkać razem nie mogli, ale gdy po długich staraniach i trudnościach zjechali się we Wrocławiu — pozostać tam długo razem nie mogli.

Po latach tyłu, gdy stęskniony syn mógł wreszcie rzucić się do nóg ukochanej matki i wypowiedzieć się jej ze wszystkich swych żalów i smutków — zaledwo po kilku dniach tak upragnionego połączenia się — prusacy nachodzą ich mieszkanie i każą się znów żegnać... na wieki.

Nazajutrz po wyjeździe matki, Słowacki tak do niej pisze:— „Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała i patrzyłem w twoje biedne, puste okienka. Twojej tam główki ciekawej nie było... Biedna Ty i biedny ja! Dzisiaj jeszcze dalej od ciebie odjadę. Ale ufaj Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę...”

Pocieszał tak matkę, chociaż należy wątpić, czy sam miał wiarę uściskania jej kiedy w życiu.

W niespełna rok — d. 3 Kwietnia 1849 r. — już nie żył.

Na wieść o znacznym pogorszeniu się zdrowia poety, pośpieszył do niego Szczęsny Feliński, później-szy arcybiskup warszawski, a wówczas młodzieńki jeszcze człowiek, ale podniosłej duszy, zdolnej pomimo młodzieńczego wieku zrozumieć tak wybitnego człowieka, jak Słowacki.

Feliński opisał matce dokładnie ostatnie chwile jej ukochanego syna, a z listu tego i my się dowiadujemy, z jaką pogodą i prawdziwie chrześcijańską rezygnacją umierał Słowacki.

Rozumiał on doskonale, że godziny jego są policzone... Gdy Feliński przybył, cieszył się, że umierając w obcym mieście, daleko od swoich i rodziny, będzie miał choć jedną dłoń przyjaźniejszą, która mu oczy zamknie.

Wprzeddzień śmierci, nie mogąc już pisać, dyktował jeszcze przyjacielowi natchnione strofy, wysnute z naszych prastarych dziejów o Piaście i Ziemowicie. Następnie, czując się coraz gorzej, zażądał księdza, kazał ubrać się i wstał na przyjęcie Sakramentów, mówiąc:

— „Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę Bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi“.

Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnej twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać wzroku od tego oblicza, cudownie pięknego świętem zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętr-

nego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem rzekł:

„Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tem, czy też tej łaski dostąpię“.

Myśląc o matce, powiedział Felińskiemu: — „Powiedz mojej matce, że nic do niej nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można“.

Dla nas jednak, dla braci swych i współrodaków, Słowacki napisał wiersz, który po śmierci w jego piśmach znaleziono. Nosi on napis: „Mój testament“. Mówi w nim poeta, że żył z nami, i nikt mu, kto szlachetny, nie był obojętny,—odchodzi jednak bez żalu za życiem, które dla niego było zbyt ciężkiem.

Nie pozostawiając żadnego dziedzica ani dla lutni, ani dla imienia twierdzi, że

„... zostanie po mnie ta siła fatalna,
„Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadaczy chleba,—w aniołów przerobi.

I rzeczywiście, całe życie Słowacki pracował nad tem, aby nas, zwyczajnych ludzi, prostych „zjadaczy chleba“—przerobić „w aniołów“, t. j. aby poziome dusze podnieść, chłodne—ogrzać, obojętne—rozpłomić. Zajętym li tylko troską o dostarczenie sobie i blizkim chleba powszedniego—wskazywał świat inny, lepszy, który każdy jest w mocy stworzyć sobie we własnej duszy.

A za to los zgotował mu prawdziwie—„nieplakaną trumnę“...

Z trudem przyjaciele zaledwo tyle grosza zdołali zebrać, aby pochować go bardzo skromnie. Niewielka

garstka ziomek szła za ubogim karawanem; nad grobem żadna mowa, żadne serdeczne słowo nie pożegnało zmarłego.

Jęk niepokieszonej matki nie doszedł mogiły syna, usypanej na obczyźnie; zamiast łez — grudki obcej ziemi spadały głucho na wieko trumny poety.

Za życia Słowacki mówił o sobie:

— „Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie. Sąż to gwiazdy te same, które mię widziały młodym i szczęśliwym? Dlaczegoż nie powstanie wichur, co mię z ziemi zwieje i zanieśie w krainę ciuchą? Dlaczego ja żyję?“

„Oto już jednego włosa niema na głowie mojej z tych, które były dawniej; oto się nawet kości we mnie odnowiły; a ja zawsze pamiętam... A niema jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jedną noc życia w spokojnym gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał.

„Chciałbym umrzeć. Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożaluje tego, co ze mną uczynił“.

K O N I E C.

